

ZESZYT STO CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

**ZESZYTY  
HISTORYCZNE**

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
2004

BIBLIOTEKA «KULTURY»  
TOM 528

ISSN 0406-0393  
ISBN 2-7168-0196-7

---

**Editeur: ASSOCIATION INSTITUT LITTERAIRE KULTURA**  
**91 av. de Poissy, Le Mesnil-le-Roi**  
**par 78600 MAISONS-LAFFITTE**

---

**Imprimé en France.**

Robert KACZMAREK

## OKNA W MURZE

Byłem chyba jedynym jawnym redaktorem nielegalnego wydawnictwa, którego komuniści nie zdołali wyrzucić z pracy, choć bardzo się starali: dowód, jakich wiele, że w ostatnich latach PRL-u można było być wolnym człowiekiem za stosunkowo niewielką cenę. W obliczu biurokracji śledczej stosunek sił układał się dla mnie korzystnie, ponieważ w żadnym momencie nie byłem sam. Miałem w pracy niezawodnego przyjaciela, a z czasem, po wykazaniu pewnej odporności psychicznej i zawodowej, mogłem liczyć na rosnące poparcie wielu innych pracowników Akademii Górniczo-Hutniczej. W tych warunkach stopniowo zmieniała się także i sama instytucja, przechodząc od pełnej dyspozycyjności wobec reżimu do samodzielnej pracy nad własnym losem i do wspierania, a w razie potrzeby inspirowania niezależności całego środowiska nauki.

Mój udział w tej historii sięga roku 1972. Byłem wówczas studentem trzeciego roku wydziału elektrycznego i z największym trudem uzyskałem zaliczenie z maszyn u doktora Tadeusza Sobczyka z Instytutu Maszyn i Sterowania Układami Elektromagnetycznymi AGH. Kiedy więc na piątym roku zwróciłem się do niego o przydzielenie mi tematu magisterium, wyglądał na zaskoczonoego. Dał mi jednak temat związany z cyklicznymi przebiegami w maszynach z uszkodzonym wirnikiem, gdzie odkryłem pewien nieznaczący parametr i nazwałem go ó kreskowane. W następstwie tego wyczynu zasłużyłem na propozycję asystentury, wymazując zarazem własny obraz ignoranta.

Pomimo zasady wykluczania elementów niepewnych na samym wejściu, moja kandydatura rozwijała się pomyślnie, ponieważ Sobczyk nie robił ceregieli z wymaganej przez uczelnię opinii którejś z partyjnych przybudówek. Wprawdzie odrzucił przyzwoitą propozycję, jaką mu najpierw złożyłem („mogę przynieść zaświadczenie Kościoła Matki naszej..”), ale przyjął rozwiązanie realne („...sam sobie wystawię zaświadczenie na czystym formularzu SZSP”). Będąc członkiem PZPR, w pracy Sobczyk uznawał jedynie kryteria rzetelności zawodowej i

świadectwa ustrojowej lojalności go nie interesowały. Przykro mi, że nie trafił najlepiej, ale to z przyczyn, które nas przerosły; nie bacząc na czyjekolwiek zawodowe intencje historia odsłoniła w roku 1976 dramatyczne sceny buntu i prześladowań robotników, po których trudno już było się skupić na badaniu uzwojeń maszyn wirujących.

### *Wróg na uczelni*

W następnych miesiącach bywałem na mieście dość bezwzględny w ściąganiu haraczu na pomoc dla prześladowanych i zdarzało się, że na mój widok znajomi przechodzili na drugą stronę ulicy. Natomiast nie prowadziłem z początku żadnej działalności politycznej w Akademii, gdzie nie zależało mi na opinii agitatora. Nie kontaktowałem się nawet z zaangażowanymi studentami wydziału elektrycznego, od których oczekiwałem tylko zawodowej wiedzy. Zdarzało się, że agiehowscy współpracownicy SKS-u mieli wielkie trudności z uzyskaniem u mnie zaliczenia, całkiem jak wcześniej ja sam u Sobczyka. Wszelako strefa ciszy, jaką utrzymywałem wokół siebie, była tylko zasłoną dymną, wcale bowiem nie uważałem, że należy trzymać światło pod korcem. Wskazane jednak było, aby do konfrontacji zaprosiła mnie partia, otwierając działania wojenne, na które porządny człowiek nie może pozostać nieczuły.

Pierwsza utarczka z uczelnianym aktywem nastąpiła w maju 1977, kiedy rozlepiałem na Rynku klepsydry po śmierci Staszka Pyjasa. Wylegitymowała mnie wówczas gwardia juvenaliowa pod dowództwem pracownika uczelni, niejakiego Nazarewicza: na czas juvenaliów władza porządkowa w mieście przechodziła w ręce studentów, w praktyce partyjnego i propartyjnego aktywu. Parę dni później wezwał mnie rektor Henryk Filcek. „Osoby związane z ruchami niezależnymi powinny poszukać sobie pracy raczej w sektorze prywatnym”, powiedział, wcale się zresztą nie upierając przy swoim zdaniu. Wyraźnie natomiast potrzebował mojej deklaracji, że nie będę prowadził działalności politycznej na uczelni, co mu bezzwłocznie obiecałem.

Zażenowani nie swoimi rolami w tej policyjnej inscenizacji, a przy tym z lekka chyba wystraszeni, rozstaliśmy się po paru minutach, nie próbując nawet nawiązać jakiegoś kontaktu. Odniosłem wrażenie, że rektor nie był w tej grze ani partnerem, ani przeciwnikiem, lecz wycieradłem. Przy braku rezultatów tego sprzątania, wcześniej czy później powinien się ujawnić sam jego reżyser.

W następnych miesiącach esbecy zatrzymywali mnie parę razy. Z początku składałem zeznania, jakich się domagali; najpierw nie przyszło mi do głowy, że można odmówić, a potem uważałem, że w roli bohatera daleko nie zajadę. Z trudem wypracowując swą własną formułę ryzyka uznałem, że mogę sobie pozwolić na dwie ulgi: opowiadać esbekom rzeczy oczywiste lub najwidoczniej im już znane, oraz deklarować wolę porzucenia działalności politycznej. Składałem zatem tego rodzaju zeznania, a po wyjściu wracałem do roboty. Ta dwuznaczna idylla trwała do końca roku 1977, po czym ją przerwałem, na co esbecja, zgodnie z podanym mi wcześniej ostrzeżeniem, podzuciła sprawę agiehowskiej egzekutywie partyjnej.

W czerwcu 1978 roku szef podstawowej organizacji partyjnej wydziału elektrycznego Piotr Włoka publicznie ostrzegł „osoby zaangażowane w działalność wrogą ustrojowi, że partia na razie nie wyciąga konsekwencji, dając im szanse naprawienia wyrządzonych krzywd”. Najwidoczniej ostrzeżenie nie poskutkowało, bo w parę miesięcy później pozbawiono mnie opieki naukowej. Mój promotor mógł się tu być podeprzeć brakiem postępów pracy doktorskiej, na którą żywcem nie miałem czasu, ale nie uczynił tego, nie miał zwyczaju chować głowy w piasek. Beznamiętnie i elegancko partyjny Tadeusz Sobczyk napisał mniej więcej tyle, że jako członek PZPR nie może nadal odpowiadać za mój rozwój naukowy i dał mi ten papier, wystawiając się na pewne ryzyko i ze strony partii, i z mojej.

### *Nieudany kontratak partii*

Odejście opiekuna naukowego, raczej niż wroga ustroju, było wyraźną wskazówką słabości peerelowskiej represji, ale też sygnałem partyjnego przeciwnatarcia. W tej sytuacji przystąpiłem do rozprowadzania bibuły w samej Akademii, co przebiegało bez przeszkód do czerwca 1979 roku, kiedy kolega Pańków z Instytutu Maszyn odniósł do POP egzemplarz dopiero co u mnie nabytego *Merkuryusza Krakowskiego i Światowego*.

To był z ich strony duży błąd, bo partia musiała zareagować na materialną i najzupełniej drugorzędną prowokację, nie posiadając przy tym środków do represji skutecznej, to jest takiej, która budziłaby prawdziwy lęk. Z bibułą zetknęło się już wielu ludzi, a niektórzy czytali, nawet jeśli zdarzało się, że czytali w rękawiczkach, by nie zostawić odcisków palców. Kolportaż bibuły w środowisku stał się już rodzajem *non evenement*, który

nie zagrażał pokojowi społecznemu. To raczej represja budziła sprzeciw, właśnie z powodów zawodowych: ludzie chcieli pracować w spokoju, a partyjno-policyjna gorączka im ten spokój zabierała. Czepiając się zatem pojedynczego aktu sprzedaży bibuły uczelniana partia już na wstępie postawiła się w niewygodnej pozycji, nawet jeśli okoliczności pogłębiały moją winę, bo sprzedawałem Pańkowowi swój własny produkt.

Był to dwumiesięcznik liberalno-konserwatywny, wydawałem go od stycznia 1979 roku. Pierwsze numery były bardzo niedobre, choć z chwalebnyymi intencjami stworzenia krakowskiej alternatywy dla doskonale robionych, ale nużąco lewicowych wydawnictw KOR-u. Należało się więc bardziej skupić nad redagowaniem pisma. Własne inicjatywy społeczne, współpraca w SKS-em i KOR-em, kontakty z Warszawą, Wrocławiem i Gdańskiem, wszystko to mogło tylko zyskać na uwolnionym czasie pracy naukowej w AGH. Wszelako zdejmując mojego opiekuna komunisty z pewnością nie to mieli na widoku; oni mieli swój plan.

Podstawę planu stanowił okólnik prorektora do spraw rozwoju uczelni Jana Janowskiego z listopada 1978 roku. Zawierał on wskazówki, jak oceniać pracowników naukowo-dydaktycznych, a w szczególności polecał zwolnienie nauczyciela, który dwukrotnie dostał ocenę niedostateczną z jednego przedmiotu. W grupie tych „przedmiotów” była oczywiście postawa społeczno-polityczna. Z końcem czerwca 1979 zastosowano okólnik prorektora w Instytucie Maszyn i Sterowania (IMiSUE), wlepiając mi z postawy dwójkę. Komisja przychyliła się do partyjnego wniosku na podstawie czterech zarzutów: kolportaż nielegalnej prasy, przygotowywanie zamieszek w czasie pierwszej wizyty papieża, zatrzymanie przez milicję i grzywna 4000 zł.

Poza kolportażem reszta była wyszana z palca i raczej niewiarygodna, co dodatkowo osłabiało sytuację partii w oczach milczących jeszcze pracowników AGH. Tak czy inaczej, uznano, że podstawa do zwolnienia była i dyrektor Instytutu Kołek podpisał odpowiedni wniosek. Oprócz mnie dotyczył on jeszcze dwóch innych kolegów, którzy jednak nie dostali dwójki z postawy. Profesor Kołek nie zaniedbał przy tym uwolnienia jednego ze skazanych w drodze łaski; widocznie słyszał, że tak się robi.

W tej sytuacji napisałem parę listów. Do dziekana Wydziału Zdzisława Klonowicza o postawienie mnie przed kolegium kwalifikacyjnym; do prorektora Jana Janowskiego o odejście od

partyjnych kryteriów przy ocenianiu nauczycieli akademickich; do rektora Romana Neyka, zastępcy członka biura politycznego KC PZPR, o porzucenie przez uczelnię służebnej roli wobec Służby Bezpieczeństwa; a na koniec do uczelnianych związków zawodowych o obronę. W listach wyjaśniłem też, że utajnienie procedury ze strony partii zmusza mnie do ujawnienia treści wszystkich moich listów. Puściłem je w obieg po uczelni i po Krakowie i sprawa nabrała rozgłosu. Ze swej strony dzielna Rada Zakładowa Związku Nauczycielstwa Polskiego w AGH wysłała do Rektora protest wobec metody opracowania wniosku o zwolnienie.

Chwilowo wstrzymano zatem jego wykonanie. Dotarł on już był do Działu Kadr, skąd jakaś dobra dusza donosiła mi o stanie sprawy. Jej ostateczny wynik zależał od reakcji środowiska Akademii. Wśród studentów Krzysztof Bialik z elektrycznego ze swą złotowłosą żoną Basią z górniczego zaczęli zbierać podpisy pod petycją, ale wyhamowałem tę inicjatywę przekonany, że pracownicy powinni się bronić sami.

W grudniu 1979 ni stąd, ni zowąd wlepiono mi ponownie dwóję z postawy. W odpowiedzi odważni koledzy z Piotrem Jasińskim na czele wybrali mnie na męża zaufania pracowników Instytutu. W tej funkcji byłem w zasadzie nietykalny.

### *Partia wzmaga natarcie*

Rychło pozbawiono mnie zajęć ze studentami, zapraszając do pokazywania się na uczelni tylko po wypłatę. Ten kolejny numer wykazał jedynie rozdźwięki w kręgach uczelnianej władzy, odebrano mi bowiem dydaktykę jedynie na wydziale elektrycznym, zachowując ją na innych wydziałach. Ze swej strony prorektor Janowski zorganizował szkolenie dla pracowników AGH. Odbyło się ono w kwietniu i w maju 1980 roku w ośrodku wypoczynkowym pod Myślenicami.

Wykłady biegły wartko od rana do wieczora. W sprawach ustrojowych dało się wyczuć zanik argumentacji ideologicznej na rzecz twardych realiów. Żaden z prelegentów nie uzasadniał PRL-u zasadami sprawiedliwości dziejowej, wystarczała geopolityka. Wśród przeciwników socjalizmu miejsce warchołów zajęli marzyciele, natomiast mężczyzn powołano do zagospodarowania nieuniknionej rzeczywistości.

Politolog doc. Wielgosz powiedział, że 15-20% społeczeństwa popiera socjalizm, 5-7% jest mu przeciwnych, a dla reszty

sprawa jest obojętna. Kwestia zmiany ustroju jest bezprzedmiotowa, bo nie istnieje żadna alternatywa. Jeśli chodzi o wojnę, to będzie ona realna za 10 lat (czyli w roku 1990), kiedy Zachód osiągnie nad Związkiem Radzieckim przewagę trzy do jednego, historia bowiem uczy, że w takich okolicznościach zawsze wybuchały wojny.

Docent Wielgosz pobrał 3110 złotych za 10 wykładów.

W drugim dniu szkolenia politolog dr Bujak był również przekonany, że to wszystko zmierza do wojny, ale widział już środki zaradcze. Stanowił je zespół działań ZSRR na arenie międzynarodowej, gdzie głównym zagrożeniem był Zbigniew Brzeziński, nieodrodny syn Wschodu, opętany przez instynktowny antysowietyzm. Z poparciem pastora, który przez pomyłkę znalazł się na czele Stanów Zjednoczonych, montował Brzeziński okrażenie Związku Radzieckiego poprzez utworzenie trzech jednostek, z których każda z osobna już w najbliższej przyszłości mogłaby przerosnąć siłą ZSRR: Chiny z Japonią, EWG oraz USA z Kanadą.

Realizacja tego zamiaru pociągnęłaby za sobą zmiżdzenie Związku Radzieckiego, a także Polski, bo główną siłę w europejskim członie sprzysiężenia stanowią gotowe na wszystko Niemcy. Na szczęście nic podobnego się nie zdarzy, ponieważ Związek Radziecki planowo przeciwdziała okrażeniu, zmierzając do kontroli kluczowych pozycji na kuli ziemskiej: Indochiny, dalej Angola, Mozambik i Etiopia, Afganistan, w ciągu roku – półtora Pakistan, a za parę lat Zatoka Arabska. Jest oczywiste, że polityka ta, niezależnie od ilości ofiar, umacnia pokój, bo działanie na rzecz pokoju to nie czcze frazesy na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ, lecz walka o równowagę globalną.

W dyskusji padł projekt uzupełnienia teorii dziejów politologa Bujaka o inne postulaty, na przykład praw człowieka, których przestrzeganie pozwoliłoby poddać większej kontroli polityczne mafie zmierzające do panowania nad światem. Powołano się tu na słowa papieża, którego zdaniem zarzewie wojny pojawia się wszędzie tam, gdzie łamane są prawa człowieka. W odpowiedzi Bujak z przykrością stwierdził, że papież dał się wciągnąć do polityki Brzezińskiego.

Doktor Bujak pobrał z kasy AGH 1980 złotych za 9 wykładów.

Wreszcie w kwestii wychowania prorektor Długosz ujawnił, że zarówno praktyka, jak i ankiety przeprowadzane wśród kandydatów na studia pokazały silne skłonności „indywidualistyczne” u większości z nich. Stąd konieczność wzmożenia



dyscypliny, co pozwoli wyrównać i uspokoić. Długosz nie wziął za to ani złotówki.

Poziom bredni, na jaki osunęli się prelegenci, sugerował zupełny brak ideologicznego zaplecza u nomenklatury, uprawiającej już tylko retorykę nagiej siły. Co do mnie, spędzałem czas na robieniu notatek do *Merkurego*. Wykładowcy się do mnie nie dobierali, sam też nie zabierałem głosu. Przypuszczam, że nikt nie oczekiwał załatwienia czegokolwiek na tej imprezie: ani normalni pracownicy, czyli „my”, ani mężczyźni historii, jak Wielgosz, Bujak i Długosz. Najpewniej obie strony nabierały oddechu przed nadciągającym przełomem.

### *Wraca nowe?*

W rok 1980 weszliśmy z objawami nasilającej się nagonki policyjnej przeciw wichrzycielom, czemu towarzyszył rosnący jazgot PZPR, goniącej resztką sił i tym bardziej nieobliczalnej. Był to okres najazdu Sowieców na Afganistan, dotkliwych braków w zaopatrzeniu, ponure czasy.

Zbliżające się przesilenie samo w sobie nie budziło szczególnych emocji, jak bowiem uczyło doświadczenie, nie należało się tu spodziewać ani dobrego, ani złego. Kryzysy poprzednich dziesięcioleci niczego nie zmieniały w istocie, co najwyżej osobę genseka i retorykę politycznego gwałtu. I tak w roku 56 chodziło o łamanie robotniczych rąk podniesionych na ludową ojczyznę, w 66 – nauczkę dla episkopatu zaprzędanego za marki, w 68 – oczyszczenie uczelni z wichrzycieli, a kraju z syjonistów, w 70 – odnowienie, za pomocą doskonałej formuły „pomóżecie?”, kontraktu pracy za pół darmo, a w 76 – ukaranie pospolitych przestępców tchórzliwie kryjących się za plecami dobrych robotników Radomia i Ursusa.

Do częstotliwości kryzysów politycznych zdążyliśmy się przyzwyczaić, bez lęku wyczekując na kolejny spektakl. Codzienność pozostawała stateczna, nawet jeśli irytująco siermiężna. Każdorazowo nowa szajka, natychmiast po wykorzystaniu społecznego niezadowolenia, starała się zabezpieczyć warunki niepisanej umowy społecznej, która oddawała nomenklaturze wszelkie prawa w zamian za minimum socjalne dla reszty narodu.

Tymczasem nadciągający w 1980 roku kryzys mógł obrócić tę umowę w niwecz, ponieważ socjalistyczna gospodarka doszła do granic ekstensywnego wzrostu, pozwalającego na drenaż narodowego majątku, nadmiaru siły roboczej i zagranicznych

kredytów. Rosło ukryte bezrobocie, przez samą partię oceniane na 10%. Gospodarka trzeszczała pod brzemieniem zewnętrznego długu i rdzewiejącej infrastruktury, a kontrola społeczeństwa słabła wobec demoralizacji aparatu ścigania, dla którego zaczynało brakować przywilejów. Na arenie międzynarodowej pogłębiało się osamotnienie Moskwy, w miarę jak ujawniały się gliniarne podstawy jej potęgi, nieprzyjemna okoliczność dla kraju, który najazdem na Afganistan otwarcie zagroził interesom Zachodu. Imperium wpadło w tarapaty, a jego represyjna siła wyraźnie traciła skuteczność. Wewnętrznym następstwem tej sytuacji była rosnąca ruchliwość niezależnych inicjatyw.

### *Porażka partii w AGH*

Na początku stycznia 1980 wybrany zostałem mężem zaufania w rodzimym Instytucie Maszyn i Sterowania Akademii Górniczo-Hutniczej. W tydzień później miały miejsce wybory do Rady Oddziałowej związków zawodowych AGH na wydziale Elektrotechniki, Automatyki i Elektroniki. Jednym z kandydatów był mój bliski przyjaciel Piotr Jasiński, który mi często pomagał, bardziej z przyjaźni i przyzwoitości, niż z potrzeby zaangażowania. Jego kandydatura do RO była oczywistą prowokacją, a głosowanie za nią – aktem dużej odwagi ze strony pracowników wydziału elektrycznego AGH.

W prezydium komisji wyborczej nieoczekiwanie zabrał miejsce Piotr Włoka i dość szybko zabrał głos. „Omówię – powiedział – wydarzenia od dawna bulwersujące nasz wydział, które umownie nazwę sprawą pana Kaczmarka. Pan Kaczmarek:

...od trzech lat prowadzi działalność wywrotową;

...zatrzymany z ulotkami obliczonymi na sianie niepokoju;

...dokonuje prób infiltracji środowiska nauczycieli akademickich i studenckich, prób zakończonych powodzeniem;

...w okresie pobytu papieża kolportuje na terenie Instytutu prasę nielegalną, która zawiera informacje zmierzające do wywołania zamieszek;

...Pan Kaczmarek szuka i znajduje oparcie w Radzie Oddziałowej, która broni go przed usunięciem z uczelni. To mu jednak nie wystarcza. Jego sprawę podejmuje Radio Wolna Europa i biuletyn KOR-u;

...przechodzi wówczas metamorfozę. Określa się jako niezależny chrześcijanin. Co to jest niezależny chrześcijanin? – Jest to chrześcijanin działający wbrew Kościołowi! Grupa

niezależnych chrześcijan realizuje swe własne polityczne cele;

...Propaganda przeciwko POP odnosi skutek. W niektórych Instytutach przepadają kandydaci partyjni, a w IMiSUE pan Kaczmarek wybrany jest mężem zaufania, w następstwie niedopuszczalnych manipulacji wyborczych;

...Czyż jednak można oczekiwać osiągnięcia w ten sposób wymuszonej współpracy partii z wrogami?

...Obecnie manipulacje zmierzają do obdarzenia mandatem popiecznika pana Kaczmarka. Apeluję o rozsądek i rozwagę. Apeluję o wycofanie swych kandydatur. Jeszcze nie jest za późno”.

Po wygłoszeniu swej mowy I sekretarz siada, pozostawiając mi całą przyjemność zdemolowania wystawionej przezeń gęby zatroskanego demokracji: „Niedopuszczalnymi manipulacjami nazywa kolega Włoka kampanię przedwyborczą w Instytucie. Kolegom, którzy w owej kampanii brali udział pozostawiam ocenę tego stanowiska. Jeśli zaś wyniki demokratycznych wyborów, w rezultacie których wybrany zostałem mężem zaufania stosunkiem głosów 45 do 15, nazwiemy «wymuszaniem na partii współpracy», to jaką nazwę przypiszemy partyjnej alternatywie w tym względzie?”.

Potem zgłaszam wniosek o tajne przegłosowanie protestu przeciwko brutalnej ingerencji partii, wywieranie nacisku na wyborców i zastraszanie kandydatów. W to ostatnie nikt nie wierzy, bo Jasińskiego trudno było wystraszyć, ale argument pozwala na przyduszenie Włoki przez niepodpadniętych jeszcze kandydatów, z których dwóch z naciskiem pyta sekretarza, czy jego wystąpienie mają oni odnieść i do siebie, zważywszy użytą przezeń liczbę mnogą w apelu o wycofanie kandydatur. Włoka z wysiłkiem informuje, że nie, a jego rosnące zmieszanie wyraźnie dodaje otuchy ludziom na sali. Janusz Starczewski z Automatyki i Tadeusz Syryjczyk z Informatyki zwracają uwagę, że pracownicy mają prawo wybrać sobie kogo chcą, a upolitycznianie tego aktu zakłóca spokój potrzebny do pracy naukowej. Pomimo pewnej dwuznaczności sformułowań wszyscy rozumieją, o co chodzi: ludzie przejęli nowomowę na swój użytek i przystępują do natarcia. Włoka się uspokaja, co pozwala mi, na prośbę prezesa Rady Zakładowej, na honorowe wycofanie wniosku o głosowanie protestacyjne.

Zgłaszam kandydaturę Piotra Jasińskiego: „Nie jest nowicjuszem w działaniu społecznym. Od lat pełni odpowiedzialne funkcje w wojewódzkich i centralnych władzach Polskiego Związku Alpinistycznego. Jako członek kadry narodowej reprezen-

tował kraj kilkakrotnie, co związane było nie tylko z jego umiejętnościami sportowymi, ale i z walorami moralnymi oraz umiejętnościami współżycia z ludźmi w wyjątkowo trudnych warunkach. W odróżnieniu ode mnie, czy kolegów należących do partii, pan Jasiński nie prowadzi działalności politycznej. Jego cechami są [...] odwaga, wielka prawość i poczucie miary..”..

Na 51 delegatów Jasiński dostał 42 głosy i wszedł do Rady Oddziałowej. Wybory te pokazały ludziom, że agiehowski oddział Związku Nauczycielstwa Polskiego wymknął się partii spod kontroli i że ziemia się od tego nie zapadła. Wybranie mnie w maju 1980 do plenum Rady Zakładowej było już wydarzeniem jakby naturalnym.

### *Wiosna związków zawodowych*

Długo pogardzane jako agentury PZPR, wstydliwie służebne w zamian za możliwość korzystania z ochłapu przywilejów nomenklatury, związki zawodowe nieoczekiwanie stały się szkołą politycznej zaradności w ostatnich latach PRL-u. Siłą trzynastu milionów związkowców była ich liczebność, czego nie należy rozumieć w zwykłym sensie, ponieważ przy braku praktyki strajkowej liczebność nie liczyła się jako klasyczny składnik stosunku sił. Stawiając jednak na masowość komuniści powiększyli ryzyko objęcia związkowym ramieniem wolne elektryki, jakich nigdy nie brakuje w żadnym społeczeństwie. Takie jednostki łatwo uciszyć, ale rzecz w tym, by nie wywołało to społecznego odzwźwięku, czego jednak w Polsce nigdy nie można być pewnym.

Nowym orężem buntu stały się związki zawodowe, kiedy zdesperowani ludzie wzięli fałszywe walory peerelowskiego prawa pracy za dobrą monetę. Ożywienie społeczeństwa i ospałość reżimu związane były oczywiście z katastrofalnymi wynikami trzydziestopięcioletnich eksperymentów gospodarczych. W takich warunkach z początkiem 1980 roku wybuchła w Polsce wiosna związków zawodowych.

Sporo zajmowaliśmy się tym w *Merkuryuszu*, donosząc o zwycięstwach i o sposobach przygotowania wyborów. W kwietniu 1980 Jan Środoń („Borowik”) pisał: „W krakowskim biurze Urządzania Lasów i Geodezji Leśnej przewodniczący Rady Zakładowej podpisał zarządzenie dyrekcji zmniejszające stawki akordowe pracowników o niemal 30%. Wydał tym samym wyrok na siebie i całą Radę. Rozjuszeni pracownicy zdołali się zorganizować, wysunąć do komisji-matki własnych kandydatów

i utracić w głosowaniu wszystkich kandydatów ustępującej Rady. Na UJ, na fizyce, pracownicy w głosowaniu utracili kandydatów ustępującej Rady, kontrolowanej przez organizację partyjną i przegłosowali kandydaty wysunięte z sali [...]. Do wysunięcia swojej autentycznej reprezentacji [...] niezbędna jest dobra organizacja przed wyborami ze względu na niedemokratyczną ordynację wyborczą. Powiada ona, że do listy proponowanej przez komisję – matkę można z sali zaproponować tylko 15% kandydatów, zaś warunkiem wyborów jest uzyskanie 50%+1 ważnych głosów. W tej sytuacji istnieją dwa sposoby przeforsowania własnych kandydatów: zmusić komisję-matkę do ich przyjęcia, albo skreślać proponowanych kandydatów tak, by nie uzyskali 50%+1 głosów. Wówczas można z sali zgłosić dodatkowe kandydaty [...].”

Związkowej lawiny nic nie mogło już zatrzymać. Jedno z majowych posiedzeń Centralnej Rady Związków Zawodowych zakończyło się postulatem „poświęcenia szczególnej uwagi realnemu poziomowi płac”; ta nowomowa oznaczała prawdziwy kłopot dla reżimu, który ledwo dyszał pod finansowymi gruzami socjalistycznej gospodarki. CRZZ szła tu śladem niektórych Rad Zakładowych, na przykład krakowskiego oddziału Polskiej Akademii Nauk, gdzie opracowano krytyczny raport o systemie i realnym poziomie zarobków. Ze swej strony konferencja sprawozdawczo-wyborcza Rady Zakładowej ZNP Akademii Górniczo-Hutniczej zobowiązała swych delegatów na konferencję krajową do walki o zmianę niedemokratycznej ordynacji wyborczej w związkach zawodowych oraz o powrót do praktyki obieralności władz uczelni. Wreszcie związkowcy Politechniki Wrocławskiej przyjęli postulaty wychodzące poza partykularyzm środowiska, żądając zniesienia cenzury, transmisji mszy świętej w radiu i telewizji oraz udostępnienia dla publiczności Panoramy Raławickiej.

### *O nowe kompetencje zz*

Tymczasem po wyborach do agiehowskich związków zawodowych przyszedł czas na badanie terenu pod ich nowe kompetencje. Okazji dostarczyła inwestycyjna zaradność prorektora Janowskiego, zadziwiającego człowieka, który dzielnie pracował nad środkami politycznej kontroli uczelnianych kadr, ale także z lekka mieszał szyki uczelnianej partii, przepytując karne instancje o formalną zgodność zwolnień z obowiązującym prawem.

Akurat ukończono nowy budynek wydziału metalurgicz-

nego, a w tym czasie przepelniony wydział elektryczny bezskutecznie zabiegał o lokale. Czy metalurgia, rodzimy wydział prorektora, nie mogłaby podrzucić parę metrów kwadratowych elektrycznemu, do obrony interesów którego zostaliśmy z Jasińskim wybrani? Postarałem się o dostęp do dokumentacji technicznej nowego budynku, na którą składało się półtora metra bieżącego planów, kosztorysów i harmonogramów. Według założeń techniczno-ekonomicznych powierzchnia użytkowa budynku była dwa razy większa, niż powierzchnia oficjalnie przejęta przez wydział metalurgiczny. Gdzie się podziała reszta? Założyliśmy wytrwałe obłężenie wyższej administracji Akademii, natężeniem zabiegów pokrywając brak uprawnień w sprawie, do której mieszałem się prawem kaduka. W maju pisałem do Rady Zakładowej: ...marzec 1980: „Pan Fąfara zmienia pracę, zastępująca go pani Jedynak nie wie, jak wyjaśnić różnicę. Pan Mróz też nie wie, słyszy po raz pierwszy. Kwiecień – pan Mróz odmawia rozmowy na ten temat z panem Jasińskim, twierdząc, że nie może udzielać wyjaśnień każdemu członkowi Rady Oddziałowej zz. Na moją interwencję informuje, że dziekan elektrycznego otrzymał plan zagospodarowania B5, oraz radzi informować się u pani Jedynak. Pani Jedynak nadal nie potrafi wyjaśnić. Maj – dyrektor Mróz na urlopie, dyrektor Szymczyk po wielu telefonach przekazuje mi przez sekretarkę informację, że w sytuacji, gdy nie są rozdzielone funkcje w Radzie Zakładowej, on nie widzi możliwości przyjęcia mnie. Maj – dziekan Benesz odmawia informacji («a co to Radę obchodzi») [...] mimo, że wyjaśniłem, że powołane do tego instytucje nie mają o sprawie pojęcia”.

Kompetencyjne spory przygotowywały grunt pod lokalną samorządność i w tym sensie uważałem je za ważniejsze niż sam ich przedmiot. Wiele czasu poświęcałem też zwykłym pracom związkowym, po prostu – obronie interesów pracowniczych.

### *Okres przejściowy*

Wiosną 80-go roku kierownictwo Rady Zakładowej ZNP AGH – Antoni Łopata i jego kolega Firlej – ujawniło mi plan wyprowadzenia Związku Nauczycielstwa Polskiego szkół wyższych z pionu komunistycznej centrali związków zawodowych CRZZ. Zamach stanu dokonać się miał we wrześniu 1980 roku na zjeździe ZNP, który po przyjęciu nowych zasad wybrałby Łopatę na prezesa. Obiecałem montowanie

poparcia moimi kanałami, co zadawałało spiskowców, bo przynosiłem im opozycyjną sankcję dyskretnie i bez własnych żądań osobowych czy programowych.

Chodziło o trudny mariaż inicjatywy umiarkowanych reformatorów z jawną opozycją. Przy wyraźnej sympatii, jaką reformatorzy okazywali prywatnie, trudno było ignorować ambaras, w jaki wprawiał ich status jawnego wroga ustroju. Bez trudu jednak dostosowaliśmy się do sytuacji. ZNP-owcy nie opowiadali mi o własnych postępkach, ale też nie bardzo byłem ciekaw; chodziło tylko o to, by na wrześniowym zjeździe spotkali się ludzie świadomi celu, a dalej już będą sobie radzić sami. Z Antkiem Łopatą spotykaliśmy się w jego maluchu na Czarnowiejskiej, z dala od przyczajonych korytarzy uczelni. Do Rady Zakładowej przychodziłem tylko po formularze związkowe, jakie wypełniałem sam i jakimi wymachiwałem na obcych uczelniach, jeśli nie miałem tam znajomych konspiratorów. Była to dość kłopotliwa robota, wiernie towarzysząca przygotowaniom kolegów z agiehowskiej Rady. W połowie sierpnia 80-go roku można już było z ufnością rozważać widoki wrześniowego zjazdu ZNP.

Tymczasem połowa sierpnia 1980 była początkiem nowych czasów, z czego najpierw nie zdawałem sobie sprawy, zajęty troskami własnego środowiska. Na Wybrzeże skierował mnie Jacek Kuroń, do którego przyjechałem po kontakty w ośrodkach naukowych na wschodzie kraju. Kuroń z sympatią wyrażał się o krakowskich inicjatywach, mieliśmy podobne poglądy na rolę związków zawodowych. „Jedź jednak do Gdańska, poradził mi, tam się dzieją ważne rzeczy”. Zmieniłem zatem swoje plany i wylądowałem na Politechnice Gdańskiej, gdzie od razu wyjaśniono mi sytuację: ZNP? jakie ZNP, tu jest wolna Polska. Bez zwłoki wyhamowałem wszelkie manewry nad nowym ZNP i osiadłem w Stoczni.

Do organizacji środowiska nauki powróciłem w pierwszych dniach września, niemal natychmiast po powrocie do Krakowa. Czas naglił, bo zetenpowska machina, której sam dołożyłem paliwa, nabierała przyspieszenia. Na tle rewolucyjnych postulatów „Solidarności” wyglądała jak oaza spokoju i ustrojowego kompromisu, co przysparzało jej wielu zwolenników, zwłaszcza na AGH, skąd wyszło wiele nitek tworzących osnowę koncepcji odnowionego ZNP. Nie można było tego ignorować. Nawet jeśli gdańskie przyspieszenie otworzyło horyzonty bardziej skutecznego działania, to nagłe odwrócenie się od okrzepniętej już koncepcji stworzyłoby na uczelni bolesny podział. Na wydziałach wrzało. W tej sytuacji otworzyłem na AGH biuro informacyjne, gdzie przez

dwa tygodnie spierano się od rana do wieczora. Codziennie pisałem jednostronicowy raport z tych dyskusji, dorzucając nowe dane o sytuacji związkowej w kraju. Wszystko podpisywałem własnym nazwiskiem. Adam Grudziński z agiehowskiej biblioteki powielał te raporty na uczelnianym ksero, formalnie nadal dla nas niedostępnym, a potem rozlepiałem je w krakowskich uczelniach i w Bibliotece Jagiellońskiej.

Na zewnątrz sytuacja skomplikowała się po błyskotliwym starcie kolejnej inicjatywy zwanej NSZZ Pracowników Nauki, Techniki i Oświaty, w skrócie NTiO. Była to sprawa dość niejasna, prowadzona przez ludzi działających dynamicznie i mających dobre zaplecze organizacyjne, lecz trzymających się z daleka od innych środowisk zawodowych. W AGH związek ten nie miał żadnego wpływu, natomiast z każdym dniem rosła grupa zwolenników przyszłej „S”. Tymczasem zachowawcze, „ZNP-owskie” skrzydło nadal było dość liczebne, głównie wskutek silnego oporu Łopaty i Firleja. Dla przekonania ich o zasięgu solidarnościowej lawiny zabrałem ich 17 września do Stoczni, gdzie zjechali się delegaci komitetów założycielskich NSZZ z całego kraju. ZNP-owcy nie dali się przekonać, wobec czego natychmiast po powrocie na uczelnię 19 września ogłosiłem zakończenie dyskusji nad wyborem związkowej drogi w AGH i zaprosiłem zwolenników porozumień gdańskich do utworzenia komitetu założycielskiego NSZZ „Solidarność”. Ukonstytuował się on tego samego dnia, z Kazkiem Godlewskim jako przewodniczącym, a następnego dnia zarejestrował się w Międzyzakładowym Komitecie Solidarności, pociągając za sobą wszystkie inne uczelnie Krakowa. Po kilku tygodniach „S” AGH liczyła trzy tysiące członków, a w grudniu 1980 – 4300 z około pięciu tysięcy pracowników. Po Hucie Lenina była to największa organizacja „S” w Małopolsce. Dziś, z tysiącem członków, jest najliczniejsza w Regionie.

### *Dwuwładza*

Począwszy od września 1980 mrowiła się na uczelni, jak wszędzie w kraju, spokojna i wytężona praca związkowa na wszystkich szczeblach i we wszystkich kierunkach: demokracja wewnętrzna, nowy podział kompetencji, współdziałanie w pracach nad ustawą o szkolnictwie wyższym i w przemianach politycznych w regionie i kraju. W praktyce mieliśmy w Akademii dwuwładzę, równoległe funkcjonowanie starych i nowych układów.



Pewnych wskazówek co do kierunku, w jakim rozwijać się będzie ta wyraźnie przejściowa sytuacja, udzielić mógł stosunek uczelnianych władz do swej własnej zwierzyny łownej, niedawnego wicherzyciela, który nagle otrzymał mandat czterdziestoprocentowej załogi.

W listopadzie, czyli kilka tygodni po powstaniu uczelnianej „Solidarności”, władze AGH przekazały wydziałowi elektrycznemu 500 metrów kwadratowych w nowym budynku metalurgii, a w grudniu, ni stąd, ni zowąd, mianowały mnie starszym asystentem. Formalną podstawę tego awansu stanowiła uchwała Rady Wydziału anulująca dwóję z postawy, ale jego data – dzień wyboru na prezesa „S” w AGH – wskazywała raczej na kwestie prestiżowe: na tym stanowisku rektorzy, w braku jakiegoś profesora, woleli mieć do czynienia ze starszym asystentem raczej niż z asystentem bez żadnego przymiotnika.

Największe umiejętności adaptacji wykazał prorektor Janowski, dostosowując się i do nowej rzeczywistości, i do nieodległej przeszłości. W sierpniu 1981 roku wysłał do „Pana Przewodniczącego Komisji Zakładowej NSZZ «Solidarność» w AGH Roberta Kaczmarka” list, w którym czytamy m.in.: „W związku z zakończeniem kadencji obecnych władz w naszej Akademii pozwalam sobie tą drogą złożyć Panu Przewodniczącemu wyrazy serdecznych podziękowań za wieloletnią współpracę, dzięki której to współpracy i pomocy mogłem realizować różnorodne obowiązki wynikające z przydzielonych mi jako prorektorowi Akademii Górniczo-Hutniczej zadań i kompetencji [...]”. Jako członek peerelowskiego Stronnictwa Demokratycznego prorektor zżył się z dwuznacznością swych kompetencji i zapewne myślał, że tak już musi być zawsze.

Problemy kompetencyjne nie miała za to uczelniana egzekutywa partii, która w marcu 1981 przesłała mi propozycję „ściślej współpracy w zakresie podstawowych problemów funkcjonowania” administracji centralnej AGH oraz „dokonania wspólnej analizy przez odpowiednie Komisje Związków Zawodowych i Egzekutywę POP”. Krótko mówiąc, chodziło o kontrolę Akademii.

Na propozycję nie odpowiedziałem, a natknąwszy się całkiem przypadkowo na rozmowę moich zastępców z członkami egzekutywy w lokalach KZ „S” przerwałem spotkanie, zapraszając każdego do zajęcia się raz na zawsze własną robotą. W propozycji swej partia wykonała nie tylko zwód taktyczny, licząc na podzielenie Komisji Zakładowej w nieskończonej ilości politycznych sporów, jakie musiałyby iść śladem podobnej wspó-

łpracy. Strategicznym celem komunistów było wzmocnienie nowego ZNP, na czym mi szczególnie nie zależało. Nie byłem też skłonny do wspierania partii, przekonany, że wcześniej czy później obróci ona przeciwko nam wszystkie swe siły.

### *W stronę rozstrzygnięcia*

Zajęty robotą organizacyjną, jak tysiące ludzi w „Solidarności”, straciłem partię z pola widzenia, kątem oka tylko chwytając niekiedy błysk oręża od strony czerwonego sztandaru. Potrząsano nim również na egzekutywie AGH. W październiku 1980 niektórzy członkowie Rady Wydziału Elektrycznego otrzymali następujący list:

„W dniu 13 XI 1980 Rada Wydziału Elektrotechniki, Automatyki i Elektroniki na wniosek przedstawiciela NSZZ «Solidarność» podjęła uchwałę następującej treści: «Rada Wydziału EAiE po zapoznaniu się ze sprawą kol. R. Kaczmarka uznaje, że jego ocena przydatności jako nauczyciela akademickiego została w sposób tendencyjny obniżona nie w związku z jego działalnością zawodową, ale w związku z jego przekonaniami. Nawiązując do powyższego RW EAiE uznaje za stosowne naprawienie wyrządzonych kol. R. Kaczmarkowi krzywd».

Egzekutywa Komitetu Uczelnianego PZPR AGH uważa, że jest to protest Rady Wydziału przeciwko metodzie dyskryminowania człowieka za przekonania polityczne, religijne itp. Podzielamy takie stanowisko w całej rozciągłości. W ostatnich latach żadna Wydziałowa Organizacja Partyjna w naszej uczelni ani Komitet Uczelniany nie podjął decyzji zobowiązującej swych członków do prowadzenia działań represyjnych w stosunku do kogokolwiek za jego przekonania. Natomiast wyrażamy wątpliwości, czy przykład mgr. inż. R. Kaczmarka najlepiej służy tak szlachetnemu celowi.

Mgr inż. R. Kaczmarek w ostatnich latach, jak sam się podpisywał, był redaktorem odpowiedzialnym nielegalnego, *Merkuryusza Krakowskiego i Światowego*, które wydawał i rozpowszechniał również w środowisku uczelnianym.

Trudno jest pokrótce streścić artykuły zawarte w kilku egzemplarzach tego periodyku, pełne napastliwych ocen dotyczących ustroju PRL, sojuszu Polski, szczególnie z ZSRR, naszej partii itp. Pozwolimy sobie przytoczyć jeden cytat. Jest to przypis redakcji do artykułu A. Romańskiego pt. „Jak zachować władzę w PRL”, pomieszczony w nr 6/II/80 str. 43. Oto pełny tekst tego przypisu:

„W wyniku rozmowy przeprowadzonej w kręgu przyjaciół, redakcji przypadł miły obowiązek uzupełnienia typologii aherentów firmy władającej chwilowo Polską o kategorię mianowicie baranów. Pana Romańskiego interesują głównie ci, których określić można jako cyników, albo ideologów czyli szaleńców, adresatami bowiem jego listu mogą być jedynie ludzie aktywni. Zasadom ścisłości analitycznej uczynimy zadość, gdy uzupełnimy obraz partii o przygniatającą masę ludzi bez oblicza. Istnieje jednak uzasadnione podejrzenie, że nie są oni bytami koniecznymi w tym sensie, że ich funkcje w pełni przejąć by mogły np. uchwyty do lampki nocnej z wetkniętą czerwoną książeczką. Stąd nie do końca wiadomo, czy ludzie ci istnieją naprawdę, a w tych warunkach trudno do nich kierować jakikolwiek adres.

Uważamy, że podjęcie polemiki z powyższymi tezami ubliżałoby naszej godności.

A zatem takie było oblicze polityczne nielegalnego czasopisma, które mgr inż. R. Kaczmarek jako «redaktor odpowiedzialny» wydawał i kolportował również wśród pracowników i studentów uczelni.

Czy jest to działanie zgodne ze statusem nauczyciela akademickiego, jak również pytanie, czy tzw. «sprawa Kaczmarka» powinna być rozpatrywana przez Radę Wydziału, pozostawiamy do osobistej oceny i refleksji Szanownemu Panu.

Na zakończenie przesyłając serdeczne pozdrowienia Egzekutywa Komitetu Uczelnianego PZPR Akademii Górniczo-Hutniczej uważa, że tym listem zakończymy „sprawę Kaczmarka” i z obojętnym pożytkiem przystąpimy do wspólnego rozwiązywania problemów, których bardzo wiele przed nami stoi.

Za Egzekutywę KU PZPR AGH, I Sekretarz Jan Wolny”.

W zakładzie pracy czy z wyżyn Komitetu Centralnego partia kasała, bo się szykowała do patetycznej próby utrzymania władzy przemocą na gruzach gospodarki. Komuniści potrzebowali bezpłodnych lat stanu wojennego, by pojąć, że czas politycznych dyktatur już minął i że lepsze akcje, zwłaszcza kradzione, niż złocony fotel i portret na ścianie. Na dodatek papiery wartościowe otwierały interesujące perspektywy i na fotel, i na portret. Wyczytać to mogli dziesięć lat wcześniej w *Merkuryuszu*, którego egzemplarz nabyli u mnie za 20 złotych, w artykule A. Romańskiego pt. „Jak zachować władzę w PRL”.

*Robert KACZMAREK*